

F. MEDOWSKI  
ZAMÓWIENIA



# MALVY

ILUSTROWANE CZASOPISMO DLA NA  
KRAKÓW \* ROK SZKOLNY 19





### W MIEŚCIE

W mieście wielki dzisiaj ruch.  
Co się stało? Co to za święto?  
To dzieci idą do szkoły. Pierwszy  
raz po wakacjach. Idą grupkami i po-  
jedyńczo. Niektóre z rodzicami. To  
pewno mamusine pieściszki.

Dyń, dyń! — dzwoni tramwaj.

Pan motorowy podkręca węża.

— Znowu będę woził dzieci —  
myśli.

A koła mu odpowiadają:

— Tak, tak — tak, tak...

Na pomoście stoją chłopcy i dziewczynki. Są też wewnątrz tramwaju. Wszędzie pełno dzieci. Jadą do szkoły. Bo ich szkoła daleko. W mieście jest dużo szkół. Jedna tu, druga tam. Dzieci idą i jadą w różnych kierunkach. Niektóre zabrały teczki i drugie śniadania. Od pierwszego dnia chcą się już uczyć. I jeść!

Dzieci są uradowane.

— Dobrze było na wakacjach —  
myślą — ale już nam tęskno za szkołą.  
O, dojechaliśmy. Wsiadamy!

Szkoła otworzyła swoje podwoje,  
jakby mówiła:

— Zapraszam was do środka. —  
Witajcie się dobrze!

— Dzieci już są na korytarzu.

— Dzień dobry Pani! Dzień dobry

— Dzień dobry Janka! Będziemy ra-  
dziej!

— Idźcie się w pary. Idziemy  
z twoim. Potem wrócimy do  
pani nauczycielka.

### NA WSI

Już po żniwach. I już po waka-  
cjach. Znowu rozpoczyna się nowy  
rok szkolny. Z chat wybiegają dzieci.  
Idą do szkoły. Szkoła stoi na końcu  
wsi. Tam — na wzgórzu.

O, jakie ma czyste szyby! I kolo-  
rowe firanki z bibułki! Kwiaty w ok-  
nach! A podwórko aż błyszczy, takie  
wymiecione!

Idą dzieci drogą. Bosymi nóżkami  
żwawo przebierają. Idą polem, ścież-  
kami. Niektóre biegną. Tak im pilno  
do szkoły! A jakie są czyste! I u-  
śmiechnięte!

Tylko najmłodsze dzieci są trochę  
nieśmiałe. Trzymają się blisko braci  
i sióstr. Wielkie to dla nich dziś zda-  
rzenie. Pierwszy raz znajdują się  
w szkole.

— Nie bój się, Kasiu! Nie płacz,  
Janku! Odwagi! Szkoła nie straszna.  
Patrz! W koło gwar, ruch i śmiech.

Wszystko dzisiaj jakieś inne. Ta-  
kie świąteczne i uroczyste. Nawet  
wróble głośniej ćwierkają. Wołają ra-  
zem z dziećmi:

— Witaj szkoło, witaj!

— Może także chcą się uczyć?

Wiatr-niecnota strąca złote liście.  
I gwiżdże:

— Ja też wejdę do klasy.

A dzieci na to:

— Nie, bobyś nam powyrywał  
kartki z zeszytów. I potargał włosy.  
Szkoła jest dla nas. Dla dzieci. My



Stary klon stoi na podwórzu, I on cieszy się dziećmi. Kiwa do nich gałązkami. I zrzuca im liście, czerwono-złote liście. I szumi:

— Witajcie dzieci! Witajcie znowu w szkole!

A. P.

będziemy się uczyć. Będziemy czytać, pisać, rachować. Kochamy szkołę. Cieszymy się nią. I wszyscy razem wołamy: Witaj, witaj nam szkole!

A. P.

## NASZA MIŁA SZKOŁA

Nasza miła szkoła  
czysto wybielona,  
równiutko dokoła  
płotkiem otoczona.

A tuż poza płotem  
od samego dzionka  
słoneczniki złote  
wciąż szukają słonka.

Tak jak ta dzieciarnia  
ze dworu i z chaty,  
co się w progi szkolne  
garnie do oświaty!...

e. k.

## O pracowitej kurce

Mała kureczka mieszkała na podwórzu z kotkiem, gąską i prosiątkiem. Raz znalazła kilka ziarenek pszenicy i zapytała kotka:

— Kici, kici, czy pomożesz mi zasiać pszenicę?

— Nie — odpowiedział kotek, bo był leniwy.

Więc spytała gąski:

— Gęgulko, gęgulko, czy pomożesz mi zasiać pszeniczkę?

— Nie — odpowiedziała gąska, bo była leniwa.

Więc spytała prosiaczka:

— Kwiku-ryku, czy pomożesz mi zasiać pszeniczkę?

— Nie — odpowiedziało prosiątko, bo było leniwe.

I kurka sama zasiała ziarnka.

Kiedy pszenica wyrosła i dojrzała, kurka spytała kotka, gąski i prosiaczka:

— Czy zechcecie mi pomóc zżąć pszenicę i zawieźć do młyna?

Ale leniwy kot odpowiedział:

— Nie.

Leniwa gęś odpowiedziała: — Nie.

Leniwe prosię odpowiedziało:

— Nie.

Więc kurka sama zżęła pszenicę, zawiozła do młyna i miała mąkę.

A na drugi dzień zapytała:

— Kto pomoże mi chleb upiec?

Ale kot powiedział: — Ja nie pomogę.

Gęś odpowiedziała — Ja nie pomogę.

I prosię odpowiedziało: — Ja nie pomogę.

I kurka sama upiekła chlebek. A kiedy chlebek był już gotowy, zapytała się kureczka:

— A pomoże mi kto zjeść chlebek?

— Ja pomogę, najmilsza kureczko — powiedział kotek.

— Ja pomogę, najmilsza kureczko — powiedziała gąska.



— Ja pomogę, moja śliczna kureczko — powiedziało prosiątko.

Ale kurka roześmiała się i rzekła:

— Nie chcieliście mi nic pomóc w robocie, a chleb chcielibyście jeść? Nic z tego. Napracowałam się ciężko, jestem głodna i sama zjem chlebek.

— Miauu, miauu — zawołał, zawstydzony kot.

— Sss, sss... — zasyczała zawstydzona gęś.

— Uff, uff! — chrząknęło zawstydzone prosiątko.

I wybiegli wszyscy z domku na ulicę.

— Szkoda, że byłem taki leniwy — mruknął kotek do gęsi.

— Szkoda, że byłem taka leniwa — powiedziała gąska do prosiątka.

A prosiątko nie miało komu powtórzyć, że żałuje swego lenistwa, więc położyło się w kałuży i chrząkało zawstydzone:

— Uff, uff, uuffff...

St. Kossuthówna

## LOKATOR ĆWIRK

Państwo Jaskółkowie siedzieli razem z dziećmi na drutach telegraficznych. Właśnie kończyli ważną naradę. Pan Jaskółka powiedział:

— Więc jutro razem ze wszystkimi krewniakami wyruszamy. Lećmy teraz do gniazda. Musimy się wyspać przed podróżą.

Frunęli wszyscy pod strzechę chaty, gdzie mieli mieszkanie.

Pani Jaskółczyna siadła na belce pod okapem i smutno ćwierknęła:

— Szkoda gniazda. Z takim trudem je zbudowaliśmy. Tu wykluliście się z jajeczek, tu was wszyst-

kich wychowałam i wykarmiłam. Miłe gniazdko, kochane gniazdko...

Najstarszy synek zaświergotał:

— Wrócimy tu przecież z wiosną.

— Tak, ale gniazdko może nam ktoś popsuć. Mogą je uszkodzić zimowe zamiecie... Trzeba wciąż o nie dbać, naprawiać...

— Wiem! — zawołał mądry synek. — Trzeba mieszkanie wynająć! Niech tu ktoś mieszka, niech się nim opiekuje. Są przecież ptaszki, co na zimę zostają w kraju.

Pan Jaskółka zatrzepotał skrzydełkami:



— Mam lokatora! Wróbel Wojtek Ćwirk, narzekał kiedyś, że nie ma porządnego gniazda na zimę. Zawołałam go! Może się zgodzi.

Zawołał Wojtka Ćwirka. Wróbel przyleciał zaraz.

Więc rodzina państwa Jaskółków zaczęła mu tłumaczyć, co i jak. Świergotali wszyscy jedno, przez drugie. Trudno było zrozumieć, o co im chodzi. Ale Wojtek Ćwirk był mądry, więc od razu zrozumiał. I od razu się zgodził.

— Dobrze! Lećcie spokojnie! Przypilnuję wam mieszkania.

Ale pan Jaskółka nagle coś sobie przypomniał:

— Słuchajno, Wojtek! Słyszałem od mojej ciotki, że jakiś Ćwirk zajął jej w zeszłym roku gniazdo i na wiosnę nie chciał się wyprowadzić. Czyż to ty był!

Wojtek się oburzył:

— Ale skąd! Nie ja! A gdybym to nawet był ja, to skąd mogłem wiedzieć, że gniazdo należy do twojej ciotki? To wiem, że wasze. Nie bójcie się. Na wiosnę się wyprowadzę. Daję wam na to moje wróble słowo. Jakem Ćwirk!

Wobec tego uspokojeni państwo Jaskółkowie poszli spać, żeby dobrze wypocząć przed długą podróżą.

K. M.

## Niespodziane odkrycie

Dzieci biegają po ogrodzie. Jest Michaś i Hania, Staszek i Anka. Są także ich goście, Antoś i Marysia. Bawią się w chowanego.

— A kuku! — rozlega się w krzakach porzeczek.

Michaś biegnie za głosem, a tu nie ma nikogo.

— A kuku! — słychać znowu wśród fasoli.

Znowu nie ma nikogo...

— Hop! hop! — rozbrzmiewa gdzieś niedaleko.

— To Anka! Mam cię! — woła Michaś. — A tu Hania!

Michaś szuka dalej. Zagląda nawet pod główki kapusty. Jakby ktoś mógł się tam zmieścić. Wreszcie odnalazł wszystkich oprócz Antosia.

— Gdzie on się ukrył? — dziwią się dzieci.

— Może pobiegł za płot i wpadł do jamy — mówi Michaś.

Na wspomnienie jamy wszyscy patrzą ze strachem na siebie.

— Co teraz będzie?

— Mama nie pozwala tam chodzić...

Dzieci stoją bezradne.

Naraz słychać ujadanie. Hau! hau! hau! To Bryś szczeka.

Dzieci już się nie namyślają. Biegną do jamy. Rzeczywiście Antoś leży w jamie.

— Oj, oj... — jęczy. — Takie tu zarośla, nie wiedziałem, że pod spodem jest jama. Oj...

Dzieci ostrożnie spuszczaają się do jamy. Pomagają Antosiowi wstać. Biedak jest podrapany i ma zdartą skórę na kolanie.

Naraz ziemia się usuwa. Widać pełno grzybów w rozpadlinie.

— Jakie ładne grzybki! — woła Hania.

Dzieci zbierają je do fartuszka Marysi. Wreszcie spieszą do domu.

— Mamusiu nie gniewaj się! Byliśmy w jamie. Antoś nie wiedział, że tam nie można. Wpadł... — mówią dzieci zadyszane. — Ale patrz, mamy grzybki!

Mama patrzy, bierze grzybki woła ucieszona:

— To pieczarki! Jakie ładne! Że też ja nie wiedziałam! W jamie są

resztki starych murów, pieczarki lubią rosnąć w takich miejscach.

— Będą grzybki na obiad, mamusiu?

— Będą, będą. Antoś dostanie najwięcej. Dzięki niemu odkryliśmy wspaniałą hodowlę pieczarek.

M. Z.

# kiciunia i chrumcia



Jesienny deszcz mżył od samego rana. Było mokro i chłodno. Na podwórzu było błoto, a miejscami stały bure kałuże.

W jednej takiej kałuży ciapkała się Chrumcia. Wierciła ryjem dziury w rozmokłej ziemi, parskała i bryzgała na siebie błotem. Była taka brudna, że aż strach.

Na poręczy ganku, pod okapem dachu, siedziała Kiciunia. Myła się starannie. Łapki, grzbiet, brzuszek, a nawet ogonek.

— Chodź do mnie! — chrząknęła Chrumcia. — Pobawimy się trochę.

— Fe! — miauknęła Kiciunia. — Taką powolną! Wcale nie mam ochoty bawić się z tobą. Pobrudziłabyś mi futerko. A zresztą, za nic nie mogłabym tak paplać się w błocie, jak ty.

— Dlaczego?! — zadarła Chrumcia ryjek w górę i spojrzała zdumiona na Kiciunię. — Błoto jest takie miłe! Mięciutkie, mokre, chłodne...

— Brrr! — otrząsnęła się Kiciunia. — Nie cierpię tego. Lubię być zawsze sucha. Popatrz na siebie, jak wyglądasz.

Chrumcia spojrzała.

— Aha. Pewno. Nie jestem taka



biała, jak ty. Ale co to szkodzi. Bawić się i tak możemy.

— Ani mi się śni! Umyj się najpierw, to potem zobaczymy.

Chrumcia machnęła ogonkiem.

— Eee, szkoda czasu. Nie oplaci się. I tak się pobrudzę na nowo.

Ogonek Chrumci był śmiesznie zakręcony, jak korkociąg i taki brudny, że jak nim wywijają, opryskiwała się błotem.

Kiciunia odwróciła się plecami, żeby się na Chrumcię nie patrzyć. Taki brudas, to okropnie niemiły widok.

Kiciunia skończyła się myć i zeskoczyła z poręczy. Ostrożnie przeszła przez ganek, żeby sobie łapek nie powalać. Pod drzwiami mieszkania miauknęła.

Magda otworzyła odrazu:

— A chodźże, chodź, Kiciuniu!

Tam pod oknem jest twoje mleczko na miseczce.

W tej chwili Chrumcia wyciągnęła ryj z błota. Poczowała, jak z otwartych drzwi wionął zapach ziemniaków ugotowanych w łupinach. Chrumcia wiedziała, że to dla niej i lubiła je bardzo. Popędziła więc niezgrabnie do drzwi i chciała się wepchnąć do kuchni.

Ale Magda odtrąciła ją nogą. Zawołała oburzona:

— A idźże, brudasie! Nie puszczę cię do mieszkania. W chlewie twoje miejsce! Tam ci jeść wyniosę! Przeciebyś mi tu wszystko zapaćkała!

I zatrzasnęła drzwi.

A Chrumcia zwiesiła ryj i zadumała się. Myślała o tym, czyby się jednak nie umyć..

*Maria Kędziorzyna*

## CO MAMY Z NASZYCH ZAGONKÓW

Zgadywanki do wiersza

Dzieci układają zgadywanki do wiersza. Zgadywanki o ogródku.

Chwali się Roch,  
że ma piękny gr...  
ale u Bolka  
ładniejsza f.....

Żadnego Bolka co prawda nie ma w klasie. Ale inaczej nie dało się ułożyć wierszyka.

Na zagonku Ewki  
są słodkie ma.....  
a u Jędruszka  
biała pie.....

Gajowego Jurek  
ma wielki o.....  
chwali się Marynia:  
— Jaka moja dy...

Na wszystkie jarzyny już ułożyli

wiersze. Ale na kapustę ani rusz. Dopiero Maciek wymyślił:

A ten Kuba tłusty  
nasadził kapusty.

Dzieci w śmiech, bo w trzeciej klasie naprawdę jest Kuba i to grubas.

Kuba zaperzył się, że to nie o nim.

— Ja nie sadziłem kapusty, tylko kukurydzę. A na kukurydzę nie wymyślicie żadnego imienia do wiersza. Niech mi włosy na nosie wyrosną, jeśli kto potrafi.

Marysia pomyślała i mówi:

Poradzili Jadwidze,  
niech sadi kukurydzę

— Wiwat Marysia! — krzyczą dzieci.

I teraz żartują z Kuby, że mu lada dzień na nosie włosy urosną.

*Julia Duszyńska*  
(St. Tync..., Wieś i miasto)

# PSIA BUDA

Jacek i Hela wracają ze szkoły. Zimno dzisiaj. Wieje ostry wiatr. Dzieci otulają się, ale to nie pomaga, bo zimno wciska się wszędzie.

Weszli na podwórze. Naprzeciw nich wychodzi jak zwykle Łatka. Ale co jej się stało? Nie skacze, nie szczeka wesoło. Skomli żałośnie.

— A gdzie Ciapus? Nie przyszedł się przywitać? Czyżby zachorował?

Zaglądają do budy. Leży szczeniak na ziemi i piszczy cichutko.

— Chory, czy co? — mówi Hela.

— Mamo! — woła Jacek wpadając do izby. — Ciapus chory.

— Pewno przemarzył. Dziś tak zimno. Wiesz, Stachu, możeby już psią budę opatrzeć? — mówi mama do starszego syna.

— Nie mam czasu, matulu. Kopce z ziemniakami muszę ziemią obsypać. Może jutro, dobrze?

— Dobrze, dobrze, synku, niech będzie jutro.

Dzieci jedzą barszcz i pogadują sobie po cichu:

— Ziemniaków szkoda, ale psów też szkoda.

— Wiesz, Helka, co my się mamy na kogo oglądać. Opatrzemy budę sami! — mówi Jacek.

— Dobrze jest. Opatrzemy. Wiemy, jak było w zeszłym roku.

Zrywają się ochoczo.

— Matulu, dajcie nam ten podarty worek. Idziemy Łatce budę ogacić.

— O, to mi się podoba! — mówi Stach.

Buda stoi pod oborą. Jest zniszczona. Dach i ściany ma dziurawe. Dostały dzieci od Stacha garść gwoździ, od mamy stary worek. Jacek obija ściany budy płachtą, Hela sypie między ścianę a płachtę sieczkę...

— Wygląda jak opatulona babuleńka! Ale teraz buda będzie ciepła!

— Najgorszy dach. Dziurami będzie śnieg padał do budy.

Mama przychodzi od czasu do czasu popatrzeć na robotę dzieci.

— Wiesz, Jacek, skocz no na strych, tam na prawo leży kawałek papy, co to został od obory.

Nie trzeba było Jackowi dwa razy powtarzać, już dźwiga kawał papy, a ze stodoły Helka niesie słomę. Łatka przygląda się robocie, jak gdyby rozumiała, o co idzie, liże Jacka w palce, albo Helę w rękę.

— Dziękuję nam, że jej domek poprawiamy!

Buda gotowa, opatrzona, pod nowym dachem! Grubas Ciapus śpi smacznie, zakopany w słomie, tylko ucho mu widać.

Dzieci z dumą patrzą na swoje dzieło.

— Żeby tak jeszcze było z czego drzwi zrobić! Taką wielką dziurą całe ciepło ucieka.

I znów mama przyszła im z pomocą:

— Przynies no, Helu, ze spichrza tę starą połamaną umywalkę, co to została po letnikach. Nogi się jej obetnie, a wierzchem zabije się otwór.

— O dobrze! — klaszcze w ręce Hela. — Tą okrągłą dziurą, co to w nią się miednicę wstawiało, będzie sobie Łatka do domu wchodziła.

Już deska przypasowana, Jacek ją przybija.

Od domu biegnie mały Piotruś. Wpycha Jackowi żelazną piłkę do ręki.

— Masz, zrób małą dziurkę.

— Gdzie? — dziwi się Jacek.

— O tu — pokazuje palcem miejsce obok otworu.

— Po co?

— A dla Ciapusia. Którędy będzie Ciapus wchodził do domku? Co?

— Ha — ha — ha! — śmieje się Jacek. — Ciapus będzie przecież wchodził tą samą dziurą co i Łatka!

wg Z. Malickiej

(Grotkowska H., Gutry M... Czytanka)



# O KASINEJ ROBOCIE,

## O DESZCZU

## O SŁOCCIE



Na podwórku wre dziś praca, wre już od poranka: mama nosi wodę w wiadrach, Kasia nosi w dzbanku. Noszą wodę ode studni, het! kawałek drogi. Rozbolały mamę plecy, Kasię bołą nogi. Noszą, noszą — tyle wody! Wiader ze trzydzieści! Pełna balia, i kociołek, więcej się nie zmieści.

Na podwórku wielkie pranie dziś urządziła mama. A sukienki swojej lalki Kasia pierze sama. Obie wdziały więc fartuchy wielkie na spódnice. Mama pierze w dużej balii, a Kasia w miednicy.

Szur, szur! szur, szur! Balia pełna piany.

Ciap, ciap! Chlap, chlap! Fartuszek obłany.

Mokry fartuch i spódnica i oba warkocze. Tylko patrzeć, jak Kasienka i nosek zamoczy!

Płynie mydlin istna rzeka przez całe podwórko. Łoskot słyhać już z daleka: pierze mama z córką.

Piorą, piorą, wykręcają. Dymi się bielizna. Dzielne praczki, żwawe praczki! Każdy im to przyzna.

Uskładały tej bielizny czystej całe góry. Po podwórku i po sadzie rozciągają sznury. Ciągnie mama sznur

po drzewach, śpiewa przy robocie. A Kasienka mały sznurek zawiesza na płocie. Ten sznur mamy mocny, gruby, a ten Kasi cienki; na nim będą wisieć tylko lalczyne sukienki.

Wieszka mama na tym sznurze, na konopnym sznurze wszystkie bluzki i koszule — całe pranie duże. Wieszka Kasia na swym sznurku, na sznurku małym te czyściutki, te wyprane lalczyne sukienki.

Oto wisi już na sznurach bielizna wyprana. Pracowały nad nią praczki od samego rana. Pracowały tak ochoczo i w takim zapale, że jak cały ranek minął, nie spostrzegły wcale. Tak ochoczo i tak pilnie rozwieszały sznury, że nie pomną, kiedy słońko zaświeciło z góry. Ledwie balie i kociołki poznosiły z dwora, a już babcia woła z progu, że na obiad pora.

Kasia głodna po robocie, prosić jej nie trzeba. Wnet zagryzie miszkę klusek drobnym kęsem chleba. Ale ledwie się przysiadła, pełnej misie rada, zapukało coś do szyby: deszcz na dworze pada!

Skoczy Kasia, skoczy mama, bieżną na podwórze, gdzie bielizna, ta wyprana, suszy się na sznurze. Dalej



zbierać, dalej znosić bieliznę do domu!

— Nie potrzebnyś tutaj, deszczu, ni mnie, ni nikomu! Zamoczyłeś nam bieliznę, zamoczyłeś sznury. A umykaj, skądś przyszedł, za lasy, za góry!

Poznosiły mama z Kasią całe wielkie pranie.

— Zaraz znów je rozwiesimy, kiedy deszcz ustanie!

Obiad stygnie, praczki głodne, jeść najwyższa pora.

Ach, ten deszcz! Kiedyż ustanie? Pada do wieczora. Pada, pada całą noc, pada znów dzień cały.

— Mamo, mamó! Kiedy wreszcie będziemy wieszali?

Pada, pada drugi dzionek. Ach, to

istna ślota! Nic nie będzie już z wieszania, na nic ta robota. Trzeba sznury porozciągać na strychu nad chatą. Nie wybieli się bielizna — będzie sucha za to. Schnie na strychu przez dzień jeden, drugi, już gotowa. Wyszła mama na strych z koszem bieliznę zdejmować. Hej, nie zdjęła już połowy, a przestaje padać. Takaś to złośliwa ślota i ludziom nierada! Kiedy deszczu trzeba polom, nie zachmurzasz nieba, a przychodzisz zawsze wtedy, kiedy cię nie trzeba!

— Ja ci już pokażę, śloto! — mówi Kasia mała. — Gdy deszcz przyjdzie, to nie będę bielizny zbierała. Nic nie szkodzi, że mi zmoknie i tak nie jest sucha. Ale za to ładnie wyschnie, gdy się skończy plucha!

*Jadwiga Morska*



## DZIEWCZĘTA I LEN

Po zielonej łące żwawa struga płynie. Niosą len do wody młode gospodynie. Niosą len dziewczęta w pęki ułożony. Idą wprost nad strugę bruzdą przez zagony.

W tej szumiącej wodzie len się złoży na dnie. Będzie sobie leżał, aż wymoknie ładnie, aż się zrobi szary, aż się zrobi miękki. Oj, dużo w nim potem będzie nitek cienkich.

Potem znowu wyschnie na zielonej łące, wiatr go będzie suszył, ogrzeje go słońce.

A kiedy dziewczęta wezmą len z nadstrugi, wymiędlą paździerze, wyczeszą włos długi... Będą lniane pasma, będą nitki cienkie, a z tych nitek płótno na lnianą sukienkę.

Niosą len dziewczęta, niech się w wodzie moczy. Do sukienek — tych od święta — cieszą im się oczy.

Teraz jest robota — później będzie radość! Będą dumne z tych sukienek przed całą gromadą.

*(Płomyczek)*



# NASZ SKLEPIK

Odkąd Zymek został pomocnikiem w szkolnym sklepiku, ma bardzo dużo roboty. Bo to i trochę wcześniej od innych przyjść trzeba i główna pauza jest zajęta, a przede wszystkim stale należy wiedzieć, czy się w czymkolwiek nie pomyliło. Wprawdzie kierownikiem sklepiku jest starszy kolega, szóstoklasista Jurek i jego powinna o wszystko głowa boleć. Ale Zymek chociaż jest tylko czwartakiem i tylko pomocnikiem, chce wszystko wiedzieć, wszystkim się interesuje i czuje się za sklepik tak samo odpowiedzialny, jak sam kierownik. Zymek oddaje się sklepikowi z całym zapalem. Swoim stanowiskiem jest bardzo przejęty. Dlatego stara się wykonywać wszystko jak najsumiennie i oczywiście uczyć się nadal dobrze i pilnie.

Dotychczas wszystko idzie jak najlepiej.

Sklepik znajduje się na korytarzu. Właściwie jest bardzo skromny. Ale jest! Mieści się cały w szafie wmurowanej w ścianie. Przed szafą stoi stolik. Gdy się szafę otworzy trzeba stolik wsunąć między drzwi. W ten sposób powstaje lada, za którą jest tylko tyle miejsca, aby móc się obrócić i wyjąć żądany przedmiot.

Na półkach leżą zeszyty, bloki, ołówki, farby, kolorowe bibułki i papiery, rafia i plastelina. Nad każdym przedmiotem jest przymocowana kartka z wyraźnie wypisaną ceną.

Teraz jest duża pauza. Zymek stoi wraz z kolegą Jurkiem za „ładą”. Zewsząd zbiegają się „klienci”.

- Daj mi zeszyt rachunkowy.
- Ja proszę gumę.
- Dla mnie blok i kredki.
- O jej! nie pchajcie się!

Patrzy Zymek na kolegów i koleżanki. Potem zwraca się do Jurka, mówi coś do niego, lecz wszyscy tak

krzyczą, jeden woła przez drugiego, że wprost nie sposób zrozumieć. Gdy się wreszcie jako tako ucisza, Zymek mówi:

— Nie kupujcie wszyscy na raz. Nie krzyczcie tak głośno. Utrudnicie nam pracę. Załatwimy was po kolei. Proszę tu jest zeszyt rachunkowy. Płacisz 50 gr.

Zymek zapisuje równocześnie na bloczku sumę otrzymaną za zeszyt. Tak, jak w prawdziwym sklepie. Zapisuje też rodzaj sprzedanego przedmiotu. Bo musi być porządek.

— Tu blok i kredki. Płacisz 2 zł. Co ty chcesz?

— Zeszyt liniowany.

— Proszę.

I tak dalej i dalej. Dopiero dzwonek kończy kupowanie i sprzedaż. Zymek zamyka szafę, oddaje klucz Jurkowi, zasuwa stolik i idzie do klasy.

Po lekcjach, gdy już wszyscy wyjdą, Zymek, Jurek i Jasia zatrzymają się na chwilę. Zatrzymają się jak codzień. Jasia jest sekretarką. Zapisuje w zeszycie, co i ile sprzedali. Zymek sprawdzi sumę na bloczkach z zapisaną w zeszycie, przeliczy pieniądze i złoży je w ręce Jurka. Jurek zaś po powtórnym sprawdzeniu włoży pieniądze do kasy i przy końcu tygodnia zda sprawozdanie panu opiekunowi.

Dzisiaj po przeliczeniu pieniędzy Jurek mówi:

— Pójdziemy do hurtowni. Trzeba kupić trochę zeszytów, stałówek i bloków.

Wszyscy troje udają się na Rynek. Tam jest ich hurtownia. Zakupują co potrzeba, po czym Jurek prosi o wystawienie rachunku dla Szkolnego Sklepiku 4-tej Szkoły Powszechnej. Rachunek dołączy do dotychczasowych i przedłoży do przeglądu panu.

Gdy są z powrotem na ulicy Jurek



prosi Zymka, aby sam zaniósł paczki do szkoły.

— ...Ja muszę wcześniej wracać do domu. Złóż paczki na ostatnią półkę, jutro zrobimy porządek. Tu jest klucz.

Jasia też chce już wracać. Zymek idzie więc do szkoły sam. Ale jest bardzo zadowolony. Zdaje mu się, że niesie towar do własnego sklepu. Tak! Takie właśnie ma uczucie. I gdy

składa paczki na ostatniej półce, myśli:

— Chciałbym mieć kiedyś swój sklep. Urządziłbym wszystko czysto i byłbym grzeczny dla klientów. Tak, chciałbym mieć swój sklep...

Widzi przed oczyma całe sterty zeszytów, półki zastawione przeróżnym towarem. Uśmiecha się do swej wizji, do swej przyszłości.

A. Pieterowa

## Mały bohater

Jaś Kowalik mieszkał na wsi i tam też chodził do szkoły. Zdarzyło się, że w jakiś czas po wakacjach ku wieczorowi pięknego, pogodnego dnia rozpętała się okropna, jesienna burza i wiatr zerwał dach budynku szkolnego.

Nauka została przerwana, a pan nauczyciel oznajmił dzieciom, że mają wolne aż do odwołania.

— Zanim naprawią dach na szkole, minie tydzień — powiedział ojciec do Jasia. — Wybierzemy się więc na parę dni do Krakowa. Zawieziemy cioci trochę owoców, zobaczysz miasto, a ja załatwię sobie rozmaite sprawy.

— O, jakże się cieszę, tatusiu! — wołał uradowany Jaś.

\* \* \*

Kiedy pociąg zajechał na dworzec krakowski, zdumienie Jasia nie miało granic. Takiego tłumu ludzi nie widział nawet na odpuście.

Z dworca pojechali tramwajem na Zwierzyniec przez pełne ruchu i gwaru ulice. Ciocia ucieszyła się bardzo, a syn cioci Władek, uczeń czwartej klasy, uściskał Jasia serdecznie i obiecał pokazać mu Kraków, jak tylko wróci ze szkoły.

Po śniadaniu Jaś obejrzał mieszkanie, obszedł dom wokoło, pobawił

się z kotem Murzynkiem, wreszcie usiadł i czekał na Władka.

— Możesz Jasiu wyjść Władkowi naprzeciw. Wkrótce będzie wracał ze szkoły, to niedaleko stąd. Idź prosto, a potem przecznicą na lewo. Uważaj tylko na tramwaj i auta, bo ruch jest o tej porze duży — powiedziała ciocia.

— Dobrze, dobrze! Będę uważał — zawołał Jaś i wybiegł z domu.

Kiedy znalazł się na ulicy, zobaczył tyle ciekawych rzeczy, że zapomniał o Władku i jego szkole. Szedł przed siebie, oglądał wystawy sklepowe, kinowe, afisze, podziwiał „rikszę“, którą właśnie jechało dwóch chłopców z pakunkami. Ani spostrzegł, jak znalazł się na rynku.

Tramwaje, wozy, motocykle mijaly się. Ludzie spieszyli w różne strony. Policjanci na skrzyżowaniu ulic kierowali ruchem.

Po jednej stronie Sukiennic stały samochody, ciężarówki, autobusy i dorożki. Po drugiej ciągnęły się rzędy straganów, na których piętrzyły się pęki kwiatów jesiennych: dali, georginii i aster. Na rozstawionych ławach przekupki sprzedawały grzyby, owoce i późne jagody.

Jaś wszedł do Sukiennic. Tutaj podobąło mu się najbardziej. Czego tu nie było? Zabawki dla dzieci i wyroby góralskie, koszyki i gorsety krakowskie. Świecidełka rozmaite i wi-



doki Krakowa. Były też ciastka i woda sodowa. Aż oczy bolały od tych różności.

Jaś przeszedł przez Sukiennice i skierował się w stronę ulicy Floriańskiej. Właśnie chciał przejść przez jezdnię, kiedy poczuł, że ktoś ciągnie go za rękaw.

— Uważaj, bo teraz nie można przechodzić przez ulicę. Trzeba czekać, aż policjant da znak. Może cię tramwaj przejechać.

Słowa te wypowiedział chłopczyk z tornistrem na plecach. Widocznie wracał ze szkoły.

— Dziękuję za wskazówkę. Nie jestem tutejszy i trochę mi się w głowie zamąciło od tego ruchu. Ale już będę uważał — dodał i uklonił się chłopczykowi, który uśmiechał się do niego.

Z wieży mariackiej zabrzmiał hejnał na cztery strony świata. To już południe. Najwyższy czas wracać.

Za chwilę wraz z przechodniami znalazł się na drugiej stronie ulicy. Szybkim krokiem podążył więc z powrotem do domu. Bał się już trochę, co powie ciocia i ojciec na tę jego wycieczkę.

Władek już czekał na niego. Ojciec i ciocia byli bardzo niespokojni. Dobrze, że skończyło się na burze i przyrzeczeniu poprawy.

Po południu Władek poszedł z Jasiem na Planty. Było tu pięknie i wesoło.

Dziewczynki bawiły się w wielkim kole, skakały i grały w piłkę, chłopcy jeździli na hulajnogach.

Spotkali kilku kolegów Władka i Jaś wziął udział w zabawie — wreszcie zmęczony usiadł na ławce.

— Najlepiej na hulajnodze jeździ Bolek — myślał Jaś wodząc oczami za kolegą Władka, który w tej chwili miał zamiar przejechać przez jezdnię między jednym odcinkiem Plant a drugim.

Naraz zobaczył, że Bolek patrzy na lewo i nie widzi, że z prawej stro-

ny pędzi wprost na niego auto. Jaś zdretniał z przerażenia.

— Może jeszcze się obejrzy...

Ale Bolek jechał wprost przed siebie. Głowę miał zwróconą na lewo.

— Rany Boskie! — krzyknął Jaś i poderwał się z ławki.

Pędził, ile miał sił. Zaprawione w biegu nogi okazały się sprawne. W ostatniej niemal chwili, kiedy auto już miało runąć na Bolka, Jaś przyskoczył do niego. Szarpnął go w tył ale sam przy tym poślizgnął się i samochód trącił go w nogę.

Szofer zatrzymał auto, a zgromadzeni ludzie rzucili się na ratunek nieszczęśliwemu chłopcu.

— Kto wie, czy nie ma zmiążdżonej stopy — powiedział jakiś pan i nachylił się nad Jasiem.

— To lekarz. Dobrze, że akurat znalazł się tutaj — mówili gromadzący się ludzie.

— Jest nieprzytomny, ale na szczęście kość ma nienaruszoną. Pięta lekko zraniona. Szczęście, że się na tym skończyło. Skaranie boskie z tymi chłopcami! Nie patrzy jeden z drugim i wprost wbiega pod auto — irytował się doktor.

— To moja wina — powiedział Bolek, który błądy i przerażony stał obok ławki, na której złożono Jasia. — To ja nie uważałem. Gdyby nie on już było by po mnie. On mi uratował życie, on...

Bolek nie dokończył i wybuchnął głośnym płaczem. *M. Zagórska.*

## Pobłogosław Boże!...

Pobłogosław, Boże Drogi, naszej pracy każdej chwili. Oto dzisiaj w szkolne progi znowu żeśmy powrócili, — by tu, gdzie wiedzy zdroje, mimo różnych trosk i potu — niedołęzne skrzydła swoje do szerszego kształcić lotu!...

*E. Kłoniecki*



# GOSPODARSTWO DZIADUNIA

Ma stary Marcin powody do wesołości, ma. Jesień jest piękna, jak rzadko: sucha, ciepła i słoneczna; warzywa mu ładnie obrodziły. Pogaduje sobie stary Marcin do Janka:

— Widzisz, jak to na moje wyszło. A sąsiedzi kiwali głowami, straszili mnie, że na starość z torbami pójdę, gdym się do tych warzyw wziął.

— Dziad, pradziad — mówili — zboże siał, to i ty siej. No, i widzisz, Jasiu, nie mieli racji.

Puste i ciche stoją dziś pola Marcina. Miesiąc temu wrzała tu gorączkowa praca. Cały bowiem, dość duży, bo dwie włóki liczący szmat ziemi zmienił stary rolnik na ogród warzywny, jaką-taką morgę tylko pod zboże dla własnego użytku i pod paszę zimową dla bydlatek zostawiając.

Rąk roboczych dużo trzeba było, by wszystko w porę oporządzić. To też cała, dość liczna rodzina do pracy stanęła. Nawet mały Janek pomagał, ile mógł. W najgorętszym czasie do najęto się jeszcze kilka dziewczyn, by z robotą nadażyć.

Pomidory sprzedał Marcin na pniu jeszcze w początkach sierpnia, niezły grosz za nie biorąc. Potem cebulę trzeba było zbierać. Do września już ją uprzętnięto w suchym miejscu, żeby nie porosła. Co pewien czas przebiera ją Janek z siostrami.

We wrześniu jest roboty tyle, że niewiadomo, o co pierwiej ręce zaczepić. Kopanie i dołowanie kartofli. A wszędzie stary sam musiał być, wszystkiego dopatrzeć. Janek okrutnie lubił za dziadkiem chodzić i o różne rzeczy się wypytywać. Widać już miał takie do ogrodnictwa zamiłowanie. Stary zaś chętnie wszystko chłopcu tłumaczył, a nieraz niejednej roboty nauczył.

— Dziadziu, — pytał Janek — a na co tyle słomy do tych kopców trzeba?

— Żeby kartofle nie zmarzły. Ty kożuch włożysz na zimę, a kartofle bez przyodziewku chciałbyś zostawić?

Po kartoflach przyszła kolej na buraki, marchew, pietruszkę. Część sprzedano, a trochę trzeba było załować.

Pewnego dnia, gdy Marcin zajęty był właśnie naprawą starych bron, na podwórze wpadł zdyszany Janek.

— Dziadziu — wołał, ciągnąc starego za rękaw — chodźże ino prędko do marchwi. Maryśka i Franek dołują i słomy nie chcą brać!

Marcin uśmiechnął się z zadowoleniem, że to wnuk tak się gospodarstwem zajmuje.

— Nie martw się Jasiu. Ja już im powiedziałem, co i jak trzeba robić. Widzisz, marchew nie jest taka delikatna, jak kartofle, nie zmarznie, a pod słomą zgniłaby prędko. Marchew, buraki, pietruszkę dołuje się bez słomy, od razu ziemią przysypując.

Do połowy października wszystko już było, jak należy, opatrzone. Tylko kapusta kłębiła się jeszcze zielonymi głowami na polu. Ale i na nią już kres przychodził.

Idzie więc Marcin bruzdami, kapuściane główki kijkiem opukuje, czy mocno zwinięte i do Janka pogaduje wesoło:

— Widzisz, Jasiu, udała nam się jesień, udały warzywa. Jeszcze do zimy sporo roboty zostało: kapustę od jutra wyrzynamy, do Wszystkich Świętych musimy się z nią uporać. I pola puste zostaną. Potem uprawiać je trzeba będzie, znawozić, żeby na drugi rok jeszcze ładniej obrodziły.

Słucha Janek uważnie i cieszy się, że i on przy tej robocie w ziemi już trochę pomóc może.

Halina Huszczyńska  
(B. Kubski..., Czytanka)



# ŚWIERSZCZYK

Wicher wieje, deszcz zacina,  
Jesień, jesień już.  
Świerka świerszczyk zza komina,  
Naszej chatki stróż.

Świerka świerszczyk co wieczora  
I nagania nas:  
— Spać już, dzieci, spać już pora,  
Wielki na was czas!

— Mój świerszczyku, bądźże cicho,  
Nie dokuczaj nam!  
To uparte jakieś lichy...  
Śpijże sobie sam!

A my komin obsiadziemy  
Dokolotka wnet,  
Słuchać będziem tego dziadka,  
Co był w świecie — het!

Siwy dziadek wiąże sieci,  
Prawi nam, aż strach!  
A tu wicher wskroś zamieci  
Bije o nasz dach!

Dziadek dziwy przypomina,  
Prędko płynie czas;  
Próżno świerszczyk zza komina  
Do snu woła nas!



Pewnego dnia przy końcu września uczniowie czwartej klasy szkoły powszechnej wracali z dłuższej wycieczki przyrodniczej, na której uczyli się rozpoznawać drzewa i krzewy rosnące w najbliższej okolicy. Podzielili się na grupki i omawiali między sobą przeżyte wrażenia.

W jednej z gromadek Janek, nazwany przez kolegów Przyrodnikiem, tak się odzywa:

— W ogrodzie moich rodziców rośnie takie drzewo, które potrafi ściągać do siebie różne ptaki.

— Bujasz bracie! — odpowiadają mu na to koledzy.

— Nie, nie bujam — zaperzył się Janek. — Możecie się sami o tym przekonać.

— A kiedy? — pytają.

— Choćby dziś, zaraz po południu.

— A jakież to ptaki ściąga do sie-

bie to niezwykle drzewo? — wpytuja go dalej.

— Niech Kazik przyniesie z sobą swój atlas z ptakami, to je wam pokażę, bo z nazw pewnie ich nie znacie.

— Dobrze, przyniosę — odpowiada Kazik.

O oznaczonym czasie stawiła się prawie cała klasa przed domem Janka. Wprowadził ich zaraz do ogrodu. Tu nie potrzebował im nawet pokazywać drzewa, które ich tak zaciekało. Wszyscy od razu skierowali wzrok na drzewo, przystrojone gronami czerwonych koralii. Chłopcy nie mogli się napatrzeć. Byli zachwyceni.

— To jest właśnie drzewo, które obiecałem wam pokazać. Nazywa się jarzębina.

Cała gromadka podeszła bliżej. Drzewo było nieduże, ale bardzo piękne. Pokryte było ciemnozielony-





Jemiołuszka

mi pierzastymi liśćmi, na których tle jarzyły się gęste plamy czerwonych jagód zebranych w płaskie grona.

— Prawda, że piękne — odzywa się Janek. — Ja je najczęściej lubię. Na wiosnę okryte jest białymi parasolkami kwiatów. Potem na miejscu tych kwiatów pojawiają się żółtawe jagody, które szybko czerwienieją i pozostają na drzewie do późnej zimy. Może utrzymałyby się i do wiosny, gdyby ich ptaki nie objadły i gdybym nie zrywał ich dla mojej mamy.

— A na cóż matce potrzeba tych jagód? — pyta któryś z chłopców.

— Dowiesz się później — odpowiada tajemniczo Janek.

— No, a gdzie są ptaki? Przecież mówiłeś, że ten jarząg przyciąga je do siebie, a tu nie widać żadnego — odzywa się Władek, przewany przez kolegów Wróbelkiem dlatego, że zawsze był bardzo wścibski.

— Teraz ich tu jeszcze nie ma — odpowiada Janek — bo jeszcze ciepło i jedzenia wszędzie mają dosyć. Zlatują się dopiero wtedy, gdy spadną śniegi i nastaną mrozy.

— To przyjdziemy tu w zimie! — wołają chłopcy.

— Dobrze. A tymczasem chodźcie do izby, to wam pokażę w atlasie Kazika te ptaki, które stale odwiedzają nas i naszą jarzębinę.

W izbie skupili się chłopcy doół stołu i Janek pokazywał im kolej gila z czerwonymi piersiami i białym szkiem, śliczną złocisto-brązową miotuszkę z czubkiem na głowie i z cytrynowo-żółtą przepaską na końcu ogonka, krzyżodzioba z dziobem na krzyż złożonym dziobem zielonego dzwońca i wiele innych. Najwięcej dziwili się krzyżodziobowi. Nie mogli pojąć, jak ten ptak może takim dziobem cokolwiek zjeść. Janek im tłumaczył, że właśnie takim dziobem ptak może rozłupywać bardzo twarde pestki jarzębiny, a także z szyszek wyłuskiwać nasiona. Mówił im Janek także o tym, że w zimie, gdy spadnie duży śnieg, przylatują całe stada jemiołuszek i raczą się jagodami, dopóki nie objedzą wszystkich jagód.

— A co robią wtedy, gdy już nie ma jagód na drzewie? — spytał któryś z chłopców.

— Wtedy — odpowiada Janek — ja im ich dostarczam. Późną jesienią zrywam pewną ilość jagód, suszę je w cieple i w zimie wsypuję do karmników. A ponieważ suszę także kilka słoneczników i wywieszam na gałęziach drzew, więc mam jeszcze innych gości: sikorki i szczygły.

Długo opowiadał Janek kolegom o ptakach, o drzewach, o innych gatunkach jarzębów.

Na zakończenie odwiedzin matka Janka poczęstowała chłopców zamiatką konfiturą z jagód jarzębinowych. Wtedy zrozumieli, w jakim celu Janek zbiera te jagody.

Przy pożegnaniu Rysiek, syn właściciela dużego ogrodu, wykrzyknął:

— Muszę poprosić ojca, żeby posadził jeszcze tej jesieni parę drzewek jarzębowych przed naszym domem. Będą miały ptaki uciechę!

— A i ty również, Rysiu — powiedział poważnie Janek.

Redaktor: dr Feliks Burdecki.

Adres Redakcji: Kraków, Poststr. 1. Redakcja „Steru”.

Adres Administracji (tu należy pisać w sprawach prenumeraty): Kraków, Uniwersytetstr. 19 a. Administracja „Steru”, tel. 104

Jeden nr „Steru” kosztuje 25 groszy. Zamawiać można tylko przez nauczyciela szkoły.

Wydawca: Hauptabteilung Wissenschaft u. Unterricht in der Regierung des Generalgouvernements. Krakau.

Wydział Główny Wiedzy i Nauki przy Rządzie Generalnego Gubernatorstwa. Kraków.